NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 6 marca 1915. Nr. 10.

Z pobojowisk pod Łodzią.



Zburzona pociskami willa Grabowskiego w Rogach.

Z pobojowisk pod Łodzią.

Garść wrażeń z podróży po Królestwie przez **Ludwika Szczepańskiego.**

(Konstantynów—Rogi—Lutomiersk).

Z pośród najbliższych okolic Łodzi, najwięcej ucierpiały Konstantynów. Lutomiersk i letnisko Rogi.

Do Konstantynowa, osady fabrycznej pod Łodzią, jedzie się trzy kwadranse tramwajem elektrycznym. Zaraz za ostatniemi domami Łodzi dostrzega się w polu po obu stronach szosy rowy i okopy piechoty rosyjskiej. W Srebrnej, po za cegielnią Heuslera, w kunsztownych okopach stała baterya rosyjska, przeciw której skierowany był grad żelaza, co zniszczył Konstantynów.

Cała groza zniszczenia rzuca się w oczy przy wjeździe do Konstantynowa.

Gmach tkalni br. Szwajkertów zdemolowany: w murach olbrzymie wyrwy od granatów. Cała połowa Rynku wraz z kościołem katolickim i cała ulica Zgierska stanowi szereg ruin, przedstawia żałosne cmentarzysko; nagie okopcone od pożaru mury, sterczące kominy ciągną się nieprzerwaną linią. Z kościoła katolickiego zostały cztery ściany; wieża do połowy strącona, jakby cudem ocalał tylko wielki ołtarz. (patrz illustracyę str. 7.) Wnętrze plebanii zdemolowane; granat wpadł do środka, czyniąc wyrwę w murze (patrz illustracyę str. 7) i zabijając siostrzenicę proboszcza. Na Małym Rynku pozostało tylko dziesięć całych domów. Przy ulicy Długiej spaliło się trzydzieści posesyj.

Wszystkie wsie pomiędzy Konstantynowem a Lutomierskiem: Konstantynówek, Mirosławice, Stefanów, Niesięcin, Rszew doszczętnie zburzone. Na polach wszędzie mogiły poległych żołnierzy.

W gruzach i popiołach legło całe miasteczko Lutomiersk. Kościół farmy zdemolowany, z klasztoru starożytnego O. O. Reformatów pozostała kupa rumowiska.

Gdzie są mieszkańcy tych wszystkich miejscowości? Ci, których domy ocalały, wrócili do swoich siedzib; ci, którzy stracili całe mienie i którzy już nie mają dachu nad głową, tułają się gdzieś po świecie...

Rogi są letniskiem o pięć wiorst od Łodzi oddległem i były do niedawna uroczą kolonią inteligencyi łódzkiej. Domy i wille w liczbie 150 stały się tam pastwą granatów i płomieni. Niektóre budowle zostały wprost zrównane z ziemią, tak, że nawet ci, którzy dobrze znają teren letniska, nie łatwo się oryentują w zgliszczach olbrzymiej pogorzeli.

Wiele z tych will urządzonych było z wielkim komfortem, jak n. p. przedstawione na naszych illustracyach wille pp. rejenta Grabowskiego, Stamirowskiego, Cyrklera i innych.

Szańce i okopy ciągnęły się aż pod same domy i wille miasteczka; fotografia przedstawia rowy pod willą p. Grabowskiego, do których zabrano cenne meble i różne sprzęty z willi. Widzimy też lasek (illustr. na str. 3), w którym pociski armatnie skosiły drzewa i odarły je z gałęzi, niszcząc wszystko podmuchem piekielnego huraganu.





Zbombardowana willa „Zochna" w Rogach **Z pobojowisk pod Łodzią:** Uszkodzona pociskami willa Sprzączkowskiego w Rogach.



Z pobojowisk pod Łodzią Willa „Grabówka" w Rogach po zbombardowaniu.

Następca dra Bilińskiego.

Zmiana w kierownictwie austryacko-węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych pociągnęła w dalszym ciągu także i zmianę wspólnego ministra skarbu,



Następca dra Bilińskiego: Wspólny minister skarbu dr. Ernest Körber.

jak to zresztą wspominaliśmy już z okazyi omawiania dymisyi hr. Berchtolda i dra Bilińskiego.

Z chwilą, gdy baron Burian, poprzednik dra Bilińskiego na fotelu ministeryalnym, objął agendy ministra spraw zagranicznych, jasnem się stało, iż użyje wszelkich wpływów, by dotychczasowego wspólnego ministra skarbu zastąpić inną osobistością i zmienić w ten sposób kierunek polityki rządowej w stosunku do anektowanych prowincyi.



Z pobojowisk pod Łodzią: Zniszczony pociskami lasek w Rogach.

Za czasów barona Buriana, który jako wspólny minister skarbu był zarazem wielkorządcą Bośni i Hercegowiny, prowadzono w obu tych krajach politykę wybitnie madjaryzującą z widoczną szkodą dla tamtejszej ludności słowiańskiej. Po objęciu rządów przez dra Bilińskiego kierunek ten zmienił się widocznie. Słowianie zaczęli używać pełni praw i rozwijać się politycznie, kulturalnie i ekonomicznie.

To jednakowoż nie podobało się niektórym sferom. Zarzucano drowi Bilińskiemu, iż dzięki zainicyowanemu przez niego kierunkowi wzmógł się żywioł serbski w kraju i zmuszono go niejako do wniesienia prośby o dymisyę. Z chwilą, gdy baron Burian, jako minister spraw zagranicznych, stanął na czele wspólnego ministerstwa, pozycya dra Bilińskiego stała się bardzo trudną, skorzystał też ze sposobności, zwłaszcza, że w Kole Polskim otwierało się dlań pole do bardzo wdzięcznej pracy dla państwa i swego narodu.

Następcą dra Bilińskiego zamianowany został dr. Ernest Körber, były prezydent austryackiego gabinetu, cieszący się zaufaniem tronu i sfer kierujących austryacko-węgierską polityką wewnętrzną.



Z pobojowisk pod Łodzią: Okopy niemieckie w Rogach.





Nowy pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich.

Fortyfikacye ziemne na brzegu jednego z jezior Mazurskich.

Oficerowie niemieccy badają przy pomocy lornet stanowiska nieprzyjaciół.



Z pobojowisk pod Łodzią: Willa Cyrklera w Rogach po zbombardowaniu.





Nowy pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich:

Nadbrzeżne rowy strzeleckie i punkt obserwacyjny koło jezior Mazurskich.

Zasieki z drutów kolczastych na brzegu jednego z jezior Mazurskich.

JÓZEF LASOŃ.

Dwunasty.

(Ze wspomnień Legionisty).

2

Na czele patroli sanitarnej kroczy śmiało doktór-kobieta... dr. Wisłocka z Krakowa, rannych na miejscu w rowach opatruje, ciężko rannych z rowu podnosi i sanitetom każe ich brać na noszach.

Dzielna Polski córa!

Ni świst kul, ni huk granatów, ni żelazo pękających szrapneli nie przestrasza dzielnej Polki. Tak, jakby nieczułą była, nie widziała, że bój straszny wre. Przed sobą widzi tylko obowiązek i nic więcej.

Cześć Ci, córo Polski!... Cześć!...

Za pozycyą szybkostrzelnych armat usadowił się tren i spełnia swój obowiązek. Ciężki to także obowiązek. Wśród gradu kul amunicyę wieźć, trudne to także zadanie.

Rozszalały się armaty, plują żelazem na siebie nieustannie, zwycięstwo chcą wzajem sobie wyrwać, wywalczyć.

Do komendanta V. batalionu, Rylskiego, patrol, wysłana w nocy, przybiega, jeńców ze sobą prowadzi.

Zdaje sekcyjny krótki raport, kończy go słowami:

— Obywatelu komendancie! Ważną wiadomość jeńcy głoszą!

— Jaką? — nerwowo pyta Rylski.

— Trzy pułki piechoty moskiewskiej w nocy w pomoc przyszło, na prawe skrzydło całą siłą chcą uderzyć!

Pojmani jeńcy słowa jego potwierdzili.

— Trzy pułki?

— Tak!

Komendant zamyślił się przez chwilę głęboko. Czterykroć silniejszego wroga przed sobą ma polski pułk, nie sposób zwalczyć wroga, tembardziej, że dalsze posiłki lada chwila przymaszerują.

Chwilę w zadumie stoi.

Jeńców do taboru każe wieść, ordynansa na prawe skrzydło śle, że cofnąć się muszą, a sam na okopy wskoczył, stalowym głosem zakomenderował:

— Bezpiecznik! Bagnet na broń!

Niespodzianie na prawe skrzydło trzy pułki rosyjskie wpadły, masą całą zwaliły się i zażarcie wdzierają się w naszą linię. Chwieje się skrzydło, widać, że zaczyna słabnąć, że niedługo utrzyma się.

Odwrócił się komendant Rylski, spojrzał ostro na swoich żołnierzy i komendę dał:

— Chłopcy! wąwóz obsadzić! Za mną do ataku! Hurra! hurra! hurra!

— Hurra! — wydarł się okrzyk z piersi żołnierzy, za wodzem swoim zerwali się i śmiało na wroga z boku uderzyli.

Zmieszali się Moskale, nie spodziewali się tak śmiałego ataku i tak ryzykownego.

Przez ten czas Rylski z V. batalionem wąwóz obsadził i Moskali do chwilowego cofnięcia się zmusił. Zagrodził drogę Moskalom. Kompanie nasze poczęły się wycofywać. Natarli powtórnie z ogromną siłą, aż tu od prawej strony ukryty pluton salwę karabinową do nich dał.

To plutonowy Szpunar Bolesław ze swoimi Wieliczanami za daleko się z plutonem posunął, a widząc ciężką sytuacyę batalionu, salwę do Moskali dał, chwilowo wybijając ich z oryentacyi.

Ale spostrzegli wkrótce, że tam jest garstka tylko żołnierzy; zwartem kołem poczęli otaczać Szpunara. Równocześnie przeważająca liczba rzuciła się na ukryty w wąwozie batalion Rylskiego.

Sytuacya była straszna.

Strzelano do siebie z pozycyi stojącej na odległość piętnastu kroków, gdzie każdy strzał był prawie śmiertelny.

Ale za wszelką cenę wroga powstrzymać trzeba, póki pułk nie wycofa się zupełnie. Zrozumieli to żołnierze i jak mur stanęli przeciwko Moskalom, strzelając i na przemian odpierając ich ataki.

Rozpaczliwą obronę przedsięwziął Szpunar, otoczony dokoła Moskalami. Zagalopował się za bardzo ze swoim plutonem, za bardzo wysunął się przed batalion. Moskale, krzycząc, wzywali do poddania.

Dojrzał to komendant Rylski, w pomoc skoczyć chciał. Wysunął się na front, do szturmu na bagnety prowadzić zamierzał, aby ocalić pluton Szpunara.

Zobaczyli Moskale naszego komendanta, chmarą rzucili się na niego, krzycząc:

— Łapać komendanta batalionu!

— Łapać żywcem!

— Łapaj! Łapaj!

Śmiercią jednak przypłaciła chmara żołdaków zamiar ujęcia żywcem polskiego komendanta batalionu.

Podbiegli polscy żołnierze, jak lwy rzucili się na otaczających komendanta Moskali, bagnetem błyskawicznie ciąć poczęli, oswobodzili Rylskiego z rąk Moskali, a wiara za nimi silny ogień dając, położyła trupem mnóstwo nieprzyjaciela.

Kompania wycofała się w porządku, tylko komendant Rylski ze swoim batalionem pozostaje, aby powstrzymać jeszcze przez kilka chwil wściekle atakującego wroga.

A jeszcze pluton Szpunara w walce był. Pomimo kilkakrotnych nawoływań ze strony Moskali, poddać się nie chcieli, usiłując przebić się przez otaczający ich pierścień wroga i dołączyć się do batalionu.

Pod silnym naporem bagnetów dzielnego plutonu rozdarł się wreszcie pierścień, nadzieja dotarcia do swoich zabłysła.

— Za mną! — krzyknął Szpunar, i w tejże chwili, ugodzony odłamkiem szrapnela w brzuch, padł. Żołnierze, cofając się, nie mieli możności zabrania go. Widzieli, jak podniósł się, chciał za nimi iść, ręką przytrzymując sobie poszarpany brzuch. Niewiadomo, czy padł, czy do niewoli się dostał.

Skierowali Moskale ogień artyleryi w wąwóz, w batalion Rylskiego. Trzeba było się cofnąć, ukryć w gąszczach i stamtąd powstrzymywać wroga.

I ciężkie wówczas straty poniósł V. batalion. Ale do końca musiał wytrwać i ochronić tren całkowicie, dopuścić do wycofania się innych batalionów z ognia, a dopiero ostatni mógł sam zejść z placówki, choćby z dużemi stratami, ale chroniąc inne bataliony.

Ruszył przodem tren.

Jadą ciężko naładowane fury z amunicyą, koła zapadają się w rozmokłą ziemię.

Sierżant taboru, Durek, na srokatego konia wsiadł, w galopie przebiega obok wlokących się powoli fur, kontroluje, czy wszystko jest w porządku, przynagla do szybszej jazdy.

W bezpieczne miejsce trzeba tren ukryć, bo tam na wozach amunicya, mógłby ją zdobyć wróg.

Za pozycyę szybkostrzelnych armat daleko odbiegł, na drodze do Janowic stanął, czekając na rozkaz, jaki przyjdzie.

Przybiegł zdyszany ordynans, przynosząc rozkaz, że fur potrzeba, aby rannych żołnierzy z pola walki można było zabrać.

Za chwilę nadbiegła dr. Wisłocka, z zrozpaczoną twarzą poczęła mówić:

— Sierżancie! Na miłość Boską, fur kilka natychmiast, rannych moc, z pola ich trzeba zabrać.

— Obywatelko! Trudno będzie z niemi podjechać — zwrócił uwagę sierżant.

— Musimy, musimy!

Piorunem zwalili żołnierze prowiant z wozów, pozostały tylko wozy z amunicyą. Tego za żadną cenę nie wolno porzucać!

Wskoczyła Wisłocka na furę, za nią sanitaryusze, galopem ruszyły konie gościńcem, wydostając się na linię, kędy poczęły pociski armatnie padać.

Nad nimi w górze pękają szrapnele, żelazo sypie się, granaty ryją z hukiem ziemię.

Spienione konie przy każdym wybuchu zrywają się, potargać chcą krępujące je rzemienie. Zsiedli żołnierze, za uzdy je prowadzą.

— Tam, za ten lasek skierować konie — komenderuje Wisłocka.

Z drogi, przez szosę przejechały wozy, po rozmiękłej ziemi dążą powoli do wskazanego miejsca.

W ostatni wóz z hukiem wpadł granat, rozerwał go w kawałki, poranił dwóch żołnierzy. Pokaleczone konie, uwolnione od krępujących je rzemieni, jak szalone pobiegły przez pola, rżąc przeraźliwie.

— Naprzód! naprzód! — nieustannie komenderuje Wisłocka.

Dojechały konie z mozołem do lasku, bezpiecznie ukryły się. Ale dopiero teraz rozpoczęła się praca właściwa dzielnej Polki i sanitaryuszy.

Nie zważając na śmiercionośne pociski, na linię bitwy dotarli, a stąd, pod jej dowództwem, zbierając ciężko rannych, na noszach do lasku odnosili.

Tu już nie odwaga gra rolę, ale bezwzględna bohaterskość, która nie zważa na nic, widzi przed sobą tylko jedno: obowiązek. Tu, gdzie każda sekunda śmierć przynieść może, zaiste tylko hartowne, pełne poświęcenia dusze wytrwać mogą.

Widzieli to polscy żołnierze, doświadczyli tego ranni i dlatego imię tej dzielnej kobiety powtarzane jest z wielką czcią i podziwem.

Przez cały czas walki czynną była, a rzec można śmiało, iż niejedno serce wówczas skrzepiła odwagą i zagrzała do walki swem bohaterskiem spełnieniem obowiązku!

I tabor ciężką podczas walki miał pracę.

Nieustannie czynny sierżant Durek wysyłał żołnierzy z amunicyą na linię bojową, sam pierwszy na czele tam, gdzie najtrudniej donieść ją było żołnierzom.

Bez najmniejszej trwogi przebiegali żołnierze ze świeżymi ładunkami naboi. Choć wielu padło, nie wstrzymało to jednak innych od spełnienia obowiązków z taką samą odwagą.

— Coś źle jest — mruknął Durek do komendanta taboru po chwili, kiedy Wisłocka zabrała kilka wozów.

Komendant taboru przez lornetę obserwował bitwę. Po chwili rzekł:

— Zdaje się, cofać się musimy!

— Czemu?

— Czwarty batalion opuścił pozycye, Rylski ze swoim batalionem w wąwozie. Coś źle!

Wydobył sierżant lornetę, przez długą chwilę wpatrywał się w bitwę.

— Coś źle!

— Ehe!

— Widzę Wisłocką ze sanitaryuszami. Prawie przy linii bojowej jest. Dzielna kobieta!

— Gdzie?

— Na lewo od wąwozu.

Chwila milczenia. Po chwili krzyknął komendant:

— Sierżant!

— Rozkaz!

— Konie gotowe do drogi?

— Gotowe! Pięć fur Wisłocka zabrała. Prowiant na ziemi leży!

— Trudno, trzeba zostawić! Przygotować wszystko. Lada chwila musimy się cofać.

Przez chwilę smutek wielki rozlał się na obliczu sierżanta, poczem przemienił się w jakąś wielką zaciętość i srogość.

— I tak nie damy się! — mruknął pod nosem.

Skierowano wozy na drogę, żołnierze stanęli przy koniach, i tylko od komendanta znak, ruszą.

— Psiakrew, tyle krwi, cofać się musimy — zaklął sierżant.

— Jeszcze niewiadomo — mruknął komendant — Zwaliły się nagle wielkie siły moskiewskie, ale i nam pomoc idzie. Trzeba im na parę chwil ustąpić.

Komendant bacznie obserwował linię bojową. Od czasu do czasu marszczyło się jego czoło, to znów radość jakaś rozlała mu się na twarzy.

Spostrzegł widocznie, jak te chłopięta w ogniu strasznym stoją, walczą jak lwy.

Zadudniło na drodze. To Wisłocka uwozi rannych, przejeżdża obok trenu.

— Cześć obywatelko! — woła komendant.

— Cześć obywatelce! — wołają żołnierze.

— Cześć wam! cześć! — z uśmiechem odpowiada, kiwając ręką z wozu.

Na siwym jej mundurze znać ślady krwi. Znać, pracy dużo było, bo i oblicze przemęczone, tylko oczy błyszczą, jak dwa czarne dyamenty, energię wielką w nich znać, odwagę i miłość Ojczyzny.

A tu, obok nich, usadowiła się artylerya austryacka, nieustannie wali z armatnich paszcz, pluje żelazem na nacierającego wroga.

Ziemia się trzęsie, drży od huku, zdaje się, jakby lada chwila zapaść się miała w tajemniczą przepaść.

Nie słychać w tym piekielnym chaosie słowa komendy, żołnierze prawie że z ócz komendanta czytają rozkaz, komendę.

— Coś źle — szepcze sierżant, chwyciwszy się nerwowo na jasną brodę.

Artylerya widzi rozpaczliwą obronę wąwozu, bohaterskie wstrzymywanie nieprzyjaciela, aby pułk mógł się wycofać, lecz ognia tam nie może słać.

W wielkiej zaciętości wżarły się w siebie dwie linie wojsk, zmieszały się, pochwyciły, jak olbrzymy dwa, tarzają się, jeden drugiego przemódz chce.

Dać strzał — swego można trafić.

Ale też zato w rezerwę pociski śle, nieustannie pluje do nich szrapnelami i granatami.

— Hej, sierżant! Sierżant!

— Rozkaz!

— Naprzód! Cofamy się!

Podcięto konie, potoczył się tren po gościńcu, ruszyły za nim kompanie piechoty.

Cofnął się polski pułk z pod przeważającej liczby nieprzyjaciół, usunął się wkońcu i V. batalion, nierozstrzygnięty i nieskończony pozostał jednak bój.

Nadciągły pułki armii austryackiej, rzucono się z zaciętością na wroga, który cofać się musiał ze zdobytych pozycyi i na dawnych pozostać. Wygnany został wkrótce i z tych pozycyi; pod Tarnowem okopał się.

Dzień Bożego Narodzenia nastał.

Dużo w dniu tym legło żołnierza, dużo polskiego wojownika zginęło, daleko większe jednak straty miał nieprzyjaciel.

Przez święta Bożego Narodzenia zacięte walki trwały, wkońcu jednak przeważające siły Moskali zostały złamane.

* * *

Przy wozach z amunicyą i prowiantami sierżant Durek stoi, w zadumę wpadł. Mrok ogarnia ziemię, szarówka rozpoczyna się. Wokoło niego krzątają się żołnierze, machinalnie rozkazy im daje. Amunicya, chleb, puszki z konserwami transportują do rowów, aby walczących żołnierzy posilić.

Szarówka.

Niedługo wyjrzy gwiazda na niebo, za nią setki innych rozświetli się nad ziemią.

Wigilijny wieczór.

Zadumany sierżant przy wozie stoi, wsłuchuje się w odgłos straszliwej walki, zdaje się, że pochłonięty cały jest rozdzielaniem amunicyi i prowiantu.

A jednak...

Od czasu do czasu przez myśl wspomnienie, jak iskierka, przeleci, zatli się na chwilę, przez chwilę światełko da, a potem gaśnie.

Przed oczyma na białym śniegu stół wigilijny mu się jawi, gromadkę dzieci koło stołu oświetlonego widzi, znajome mu twarze... znajome...

Wigilia... wigilia... Bożego Narodzenia.

Ileż radosnych wspomnień przesuwa mu się przez mózg, ileż szczęśliwych chwil...

W zadumę wpadł.

— Hej, sierżant! — wyrywa go z zadumy głos komendanta. — Cóż to, cóż wam, słaby, chory, raniony? Hę?

— Nie... nie...

— He... he... he... tęsknota — śmieje się rubasznie — żre... co...?

— Nie!

— He... he... gadaj, bracie, nie. Serca nie wydrzesz, miłości nie spalisz, uczuć nie prędko się pozbędziesz. Hej, chłopcy! — zwrócił się do żołnierzy — Wigilia dzisiaj!

— Wigilia, komendancie! Przydałoby się coś...

— Sierżantowi powiedzcie!

— Jak wigilia, to wigilia — mruknął sierżant — Dobrze, chłopcy, dobrze.

Już ci skrzynia „z delikatnym przysmakiem“, jak ją żołnierze nazywali, otworzona, flaszka z imbierową krąży, kawałek ryby się znalazł i strucli świeżej. Miast opłatkiem, kęsem chleba się łamią, życząc sobie wszystkiego dobrego, zakończając jak najprędszem zgnieceniem wroga.

— Daj wam Boże, sierżancie, zdrowia i abyście cało przetrwali tę zawieruchę — życzą mu żołnierze.

— Daj Boże wzajem! Daj wam Boże!

Huk armatnich strzałów towarzyszy ich słowom, z rowów strzeleckich słychać czasami cichą melodyę kolendy:

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony.

Cichnie kolenda wśród huku dział i karabinów, to znów odzywa się silniej, potężniej:

A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami!

I treniarze nucą pod nosem kolendę. I z nieprzyjacielskich okopów wiatr słowa urywane przynosi — i w grozie tej wojennej unoszą się słowa pieśni kościelnej, miłość wzajemną nakazując i braterskie się kochanie.

Skulony żołnierz w rowie monotonnym głosem kolendę nuci, wzrokiem szuka poruszającego się nieprzyjaciela, kierując ku niemu lufę karabinu.

Przy trenie wigilijna uczta.

Miast opłatka łamie się kęs chleba, życzenia szczere z piersi się wydobywają, zapomina się na chwilę o całej grozie, jaka się wokoło roztacza.

Skrzą się jeszcze gwiazdy na sklepieniu niebios, księżyc bladem światełkiem oświetla szarą ziemię, gdzieniegdzie przystrojoną białą szatą. Stojące treny wyglądają z daleka, jak ruiny jakiegoś zamczyska, które rozpadło się w gruzy, mur jeno, wał ochronny pozostał.

— Co to rok temu było — opowiada jeden do drugiego, siedząc na wozach — wieczerza, potem kolendy, wesoła zabawa do północy, a potem na pasterkę. He... he... he...

— I teraz pasterka będzie!

— A tak! Już dzwonią! — śmieją się.

— Dzwonią padające pociski!

— Wszystko jedno, ale dzwonią! Prawda, sierżancie?

— Ano tak! Dziś ci dzwonią dzwony, jutro zaś armaty. Niema to, jak żołnierzem być! Co, chłopcy! Prawda? Polskim żołnierzem?!

— A tak, tak, prawda, sierżancie — odpowiadają.

— I Moskala bić!

— Prawda, sierżancie!

— I co? Źle wam?! Szczęśliwi powinniście być, żeście nie w domu, że za Ojczyznę walczycie, a nie w domowych powijakach leżycie. Szczęśliwiście powinni być, szczęśliwi!

— Szczęśliwi jesteśmy! — odpowiadają.

— A tak, tak... — szepcze sierżant, pochyla nieco głowę i z zadowoleniem patrzy na podwładnych sobie żołnierzy, posłusznych jego rozkazom!

. . . .

I w nieustannych walkach pozostał pułk Piłsudzkiego przez cały grudzień aż do połowy stycznia. Ubyło żołnierzy w szeregach, śmierć, trud i rany pochłonęły wielu, przerzedziły się trochę szeregi, a ci, co od początku pozostali w szeregach, znosząc mężnie ten trud, zahartowali się, zahartowali tak ciało, jak i duszę.

W bezustannych marszach, potyczkach, rzec można w gigantycznych zapasach pułk przebywał, liczne uznania ze strony komendy wojsk austryackich zdobył, bo też prawdziwie zasłużył sobie na to.

Czyny polskich żołnierzy świadczą o tem i sławę polskiego oręża podnoszą.

Jednak, pomimo strasznych walk i przejść, nawet największe trudy i poświęcenia nigdy nie zachwiały serc dzielnych żołnierzy, owszem, utwierdziły ich ufnością, zaogniły w miłości Ojczyzny.

Z jednej brygady 140 żołnierzy odznaczonych za waleczność. Tu już słów nie potrzeba żadnych.

A serca ich?!

Ostatnie pamiętam chwile, kiedy z nimi byłem i doprawdy, słowa niektórych utkwiły w sercu głęboko.

Niejeden, chory jeszcze, niewyleczony, niejeden z rozognioną raną, na wieść, że kompania jego w boju, do raportu ostro stawał:

— Obywatelu lekarzu, zdrów jestem, chciałbym do kompanii iść...

Bada lekarz, wyrokuje:

— Noga nie podgojona, dwa tygodnie trzeba najmniej leżeć!

— Proszę obywatela lekarza, dobrze chodzę już!

— To nic...

— Ale ja chciałem prosić, ażebym mógł iść do pułku, tam moja kompania w ogniu.

Albo ci mali ochotnicy. W Bystrzycy zgłasza się do oględzin lekarskich 17-letni chłopak, chuderlak słabowity.

Doktor pułkowy B. orzeka:

— Niezdolny!

Chłopak w płacz i dalej zawodzić, że życie sobie odbierze, gdy go nie przyjmą do Legionów.

To są sceny, które głęboko w serce się wkradają i ciągle przed oczami stoją.

W styczniu b. r. z rozkazu naczelnej komendy wojsk austryackich dostał pułk I. zasłużony kilku tygodniowy wypoczynek.

Przyszli strudzeni bojownicy, aby stargane siły skrzepić, do walk nowych się przygotować.

Sześciomiesięczne zapasy z wrogiem znużyły wszystkich, odpoczynek trzeba dać, aby nie stracić napróżno żadnego żołnierza, a do tego, choć młodego, wielce już zasłużonego bojownika.

Z ostatnich chwil dostałem list od druha, który poniżej zamieszczam. List ten, to otwarta dusza polskiego żołnierza, to uczucia, jakie przez sześcio miesięczną walkę wyrobić sobie potrafił i zahartował. Miłość Ojczyzny, porachunek z odwiecznym wrogiem — to właściwa myśl żołnierza, która sił do wytrwania im dodaje i w męstwie podsyca.

Bujaków, 21 stycznia 1915.

Kochany Przyjacielu!

Maszerowaliśmy na odpoczynek po krwawej bitwie, z której każdy wyszedł z ciężką żałobą w sercu, zostawiwszy czy to kolegę-towarzysza, czy brata, czy wreszcie dzielnego kolegę z szeregu. Pogoda nam sprzyjała, sucho i dosyć ciepło, jak na zimę. Przemaszerowała nasza brygada, w której naliczyłem tylko jedenastu z tych, którzy wyszli z Podgórza, a było nas coś koło stu czterdziestu.

Jedenastu!...

Resztę pochłonęły trudy, choroby, rany i śmierć!...

Zawsze, ilekroć o tem myślę, ile jeszcze ofiar trzeba, by dzieła dokończyć, lęk mnie zbiera, że przecież nas tak mało, że pierwsza lepsza bitwa — a z tego hufca nie pozostaną, jeno strzępy.

Ale trudno!

Otóż tedy maszerujemy. Na czele muzyka gra ślicznie zharmonizowane nasze śpiewki strzeleckie. Legion posuwa się poważnym krokiem, czuć, że to nie po godach, ale po uciążliwej wracają pracy; czasem zanuci ktoś piosenkę, inni w lot pochwytują i kompania bucha pieśnią: „Wędrujemy borem, lasem...“ i t. p. Czasem smętną lwowską pieśń wytoczą i poznajesz duszę maszerujących: „Boże, pozwól mi dożyć chwilę tą, bym Ojczyznę ujrzał swą!“

Twarze rumienią się, gdy zobaczą ludność, witającą nas z entuzyazmem. Słyszysz okrzyki zdumienia:

— Takie to młodziutkie i wątłe, a już Ojczyźnie służy!..

Przechodzimy wzdłuż wsi. Na progu chaty stoi kobieta i załzawionem okiem wpatruje się w maszerujących. Szuka swego syna. Małą ma nadzieję, bo jej opowiedziano, że dużo żołnierzy padło, a tu nagle z szeregów okrzyk:

— Matusiu! Matusiu, jestem!

I biegnie szesnastoletni chłopiec, rynsztunek gniecie go do ziemi, ale widać daje mu radę, skoro w ataku go nie rzucił. Tęsknem okiem spogląda na swoją chatę, przytuliwszy się do piersi matczynych. Łzami zrosiło się lice lubej matuchny, pocałunkami osusza je.

— Nie bój się, matulu! — szepcze — Nie bój się! Wrócę ja do was, wrócę.

Nam również łza w oku świeci. Oto chłopię młodziutkie poszło, by bronić przed wrogiem swą ojczyznę.

Cześć ci, matko, że takiego syna wychowałaś i że nie pożałowałaś jedynej osłody starości dla świętej sprawy.

Dalej widać całą rodzinę żydowską w odświętnych strojach. I oni wyszli przed chatę, by powitać syna, brata. Ojciec z dumą spogląda po synach, zda się mówić:

— Jestem żyd, ale syn mój walczy z wami, o wolność dla nas!

Z trudem powstrzymuje się od rzewności, by nie zarzucono, że mu żal. Całując syna w czoło, westchnął głęboko, wzniósł oczy do nieba i dumnie po nas spojrzał, tłumaczył potem starej matce, co to za wojsko jest, gdzie jej wnuk służy.

Z Bogiem idźcie — żegna nas — a wróćcie szczęśliwie!

Takich serc jest dużo i w ciągu marszu człowiek powoli zaczyna marzyć o swoich w domu. Przypominają się słowa: „Boże, pozwól mi dożyć chwilę tą, bym ojczyznę ujrzał swą!“

Koniec drogi!...

Kęty się wysuwają, widać cel marszu. Zapowiedziano defiladę brygady. Czoło kolumny dosięga rynku, koniec jeszcze hen... za miastem, dalej tabory, kuchnie polowe. Zbliżamy się. Dochodzą nas dźwięki orkiestry: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Serce rośnie, krew jakoś żywiej wre, zmęczone szeregi prostują się, nogi lżej niosą.

— Defilada w lewo — pada komenda, błyskają szable, szeregi wyprężają się równiutko. W takt muzyki przechodzimy koło naczelnika Piłsudzkiego, który na koniu, przybranym w czerwone kwiatki, salutuje wraz z całym sztabem. Ceni męstwo wojowników, bo twarz jego poważnie i miłośnie spogląda na te jego dziatki z pod Limanowy, Łowczówka i t. d. i t. d.

— Kompania!... w lewo... front!

Zdumiewamy się nad sprawnością, z jaką wykonujemy zwroty. Jak strzelił — równa się kolumna, staje nieruchomo.

O! Gdybyście widzieli, z pewnością niejednemu przyśniłaby się wojaczka. Zostajemy otoczeni kordonem miłych twarzyczek. Panie, panienki, panieneczki obdarowują nas papierosami, cukierkami, bułeczkami etc.

— Może pan obywatel pozwoli, proszę coś szkostować!

— Prose, panie ścielec, wziąć cekuladkę od mamusi — zachęca sześcioletnia córeczka.

Tu i ówdzie panie dekorują naszych kwiatami.

— Baczność — pada komenda — kolumna czwórkowa w prawo! Czwórki w prawo zwrot!... Kolumna... marsz...!

Odchodzimy do Bujakowa na kwaterę.

Okolica piękna, ludzie, aczkolwiek dość zamożni, cierpią wskutek wojny. Ja mam kwaterę bardzo dobrą, ciepło jest i czysto, jest gdzie siąść, urządzić kancelaryę etc. Tylko, że mi tęskno za domem, za dziećmi, to też, ilekroć list jaki dostaję, po kilka razy go odczytuję.

Serdeczne pozdrowienie, uścisk dłoni... pa...

Durek Franciszek
sierżant rachunk.
I. brygada, V. batalion, I. komp.

Jedenastu!
A on... dwunasty...

Z pobojowisk pod Łodzią.



Zbombardowana parafia w Konstantynowie, gdzie granat zabił 16-letnią siostrzenicę proboszcza.



Ołtarz w zbombardowanym kościele katolickim w Konstantynowie. Dach i ściany kościoła zostały zburzone.



Zbombardowany kościół w Konstantynowie.



Niemieckie okopy w Rogach

Z za dawnego kordonu.

Nie tak to dawno, bo zaledwie pół roku temu od Królestwa Polskiego, złączonego z Galicyą tylu serdecznymi węzłami, dzieliła nas granica, której naturalnie jeszcze utrudnioną ze względu na stan wojenny, w każdym razie przecież czuje się podróżujący swobodniejszym, niż to było za dawnych czasów pod wszechwładnem panowaniem moskiewskiego knuta.





Z za dawnego kordonu: Personal c. i k. komendy okręgowej w Olkuszu z rotmistrzem Rudolfem v. Dahmen (X) w pośrodku, przed budynkiem komendantury. — Dworzec kolei nadwiślańskiej w Olkuszu, zostający obecnie pod zarządem austryackim.

przejście tyle niejednemu sprawiało przykrości. Na samą myśl, na jakie podróżujący narażonym być może szykany i niebezpieczeństwa ze strony rosyjskiej, niejeden, choćby był i powinien tam wyjechać za interesami, wolał zostać w domu, bo nuż oblicze jego nie spodoba się jakiemu panu żandarmowi lub członkowi straży pogranicznej? I ani się spostrzeżesz, jak znajdziesz się w turmie, lub na koszt białego cara rozpoczniesz wędrówkę przymusową w mroźne okolice Sybiru.

Dziś, dzięki toczącej się obecnie wojnie, słupy graniczne i rogatki zniknęły na wielkiej przestrzeni, umożliwiono nawet komunikacyę kolejową między Galicyą a częścią Królestwa Polskiego. Jest ona

Bezpośrednio po wkroczeniu naszych wojsk na terytoryum Królestwa, zaprowadzono wszędzie częścią austryacką, częścią niemiecką administracyę, przystąpiono też do naprawy uszkodzonych dróg żelaznych i mostów, by rozpocząć regularny ruch osobowy i towarowy. W tym celu wyjechał z Galicyi cały legion urzędników, inżynierów i robotników kolejowych, którzy raźno zabrali się do pracy.

Skutki jej już widzimy, *via* Granica dostać się można wygodnie do należących już faktycznie do nas części zajętego kraju.

W niniejszym numerze podajemy ryciny przedstawiające dworzec austryackiej kolei państwowej w Olkuszu (dawna linia kolei nadwiślańskiej) oraz personal tamtejszej c. i k. komendy okręgowej z rotmistrzem Rudolfem v. Dahmen na czele przed budynkiem komendantury.

Co się dzieje w Przemyślu?

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych".)

Przemyśl, 18 lutego.

Życie w oblężonym Przemyślu płynie zupełnie normalnym torem. Ludność cywilna, pozostała w twierdzy, oddaje się zwykłym zajęciom, młodzież obojga płci uczęszcza do szkół, starsi pracują w swych zawodach, a czas wolny od pracy uprzyjemniają sobie słuchaniem muzyki, która jak dawniej, przygrywa regularnie dwa razy w tygodniu na rynku, uczęszczaniem na liczne koncerty i przedstawienia amatorskie i t. d.



Co się dzieje w Przemyślu: Orkiestra wojskowa, przygrywająca w czasie oblężenia na rynku przemyskim. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Jednem słowem, w życiu miejskiem niema różnicy między tem, co było dawniej.

Zamożniejsi obywatele Przemyśla nie mogli też zapomnieć o tych, którzy i dawniej nie mogli się bawić, o tych najbiedniejszych, dla których w czasach pokoju zakładano przytułki, otwierano tanie kuchnie i herbaciarnie. A tych także dużo w Przemyślu zostało.

Dzisiaj dziękują Bogu, że mogli zostać w rodzinnem mieście, bo im tu lepiej się powodzi, niż tym, których srogi los skazał na tułaczkę wśród obcych ludzi.



Lazaret w Dobris w Czechach: Fundatorka szpitala księżna Colloredo-Mannsfeld



Co się dzieje w Przemyślu: Rozdawanie bezpłatnych obiadów w ochronce kolejowej.

Za inicyatywą Najprzewielebniejszego księdza biskupa sufragana Fischera, starosty i radcy namiestnictwa p. Zygmunta Żeleskiego i komisarza cywilnego komendy twierdzy p. Waleryana Karasińskiego zawiązał się komitet, który zajął się wspieraniem tych najuboższych.

Dzięki przychylnemu, a wielce obywatelskiemu stanowisku, jakie zajęły władze wojskowe wobec zabiegów komitetu, udało się uzyskać wydawanie dla biednej ludności artykułów spożywczych z obfitych w zapasy magazynów wojskowych, po cenach znacznie niższych, niż w pokojowych czasach.

Oprócz tego komitet otworzył cztery kuchnie dla ludności chrześciańskiej i jedną dla ludności żydowskiej, w których wydaje ludności ubogiej obiady i chleb częścią bezpłatnie, a częścią za opłatą 30 h. za obiad, składający się z rosołu lub zupy, mięsa, kaszy i chleba.

W kuchniach czynne są liczne panie z przemyskiego towarzystwa z niestrudzonemi paniami dyrektorową Bojarską i Zontagową na czele.

Podajemy kilka zdjęć fotograficznych, na których widzimy lokal kasowy magazynu żywnościowego, wydawanie mąki w magazynie wojskowym, rozdawanie bezpłatnych obiadów w ochronce kolejowej i gromadkę odbiorców tanich obiadów po 30 hal. w „Taniej kuchni“ przy ul. Ochronek.

M. T.

Lazaret w Dobřiš w Czechach.

W pierwszych dniach wojny, staraniem księżnej Colloredo Mannsfeld, urządzono w Dobřiš lazaret dla



Co się dzieje w Przemyślu: Wydawanie obiadów z „Taniej kuchni“ przy ul. Ochronek. (Fot. M. Todt, Przemyśl)



Co się dzieje w Przemyślu: Wydawanie mąki z magazynu wojskowego.

dwustu rannych żołnierzy rekonwalescentów i 20 oficerów. W tym celu, pod kierownictwem księżnej, wybudowano specyalną kuchnię z jadalnią, na wzór amerykański, w której zaprowadzono wodociąg i światło elektryczne.

Rekonwalescentów umieszczono w nowo wybudowanych barakach dla służby zamkowej (po trzech w izbie), a oficerów w gościnnych pokojach zamku książęcego.

Do użytku rekonwalescentów oddano łazienki i kąpiele ziemno-bagniste na leczenie reumatyzmu. Ranni oddani są opiece lekarza książęcego, a wszelkie bandaże wykonywa sama księżna w urządzonym specyalnie w tym celu pokoju, w którym jest mała apteka i różne przyrządy lecznicze.

Przy obiadach i wieczerzach obecną jest także księżna, która sama rozdziela potrawy dla rekonwalescentów.

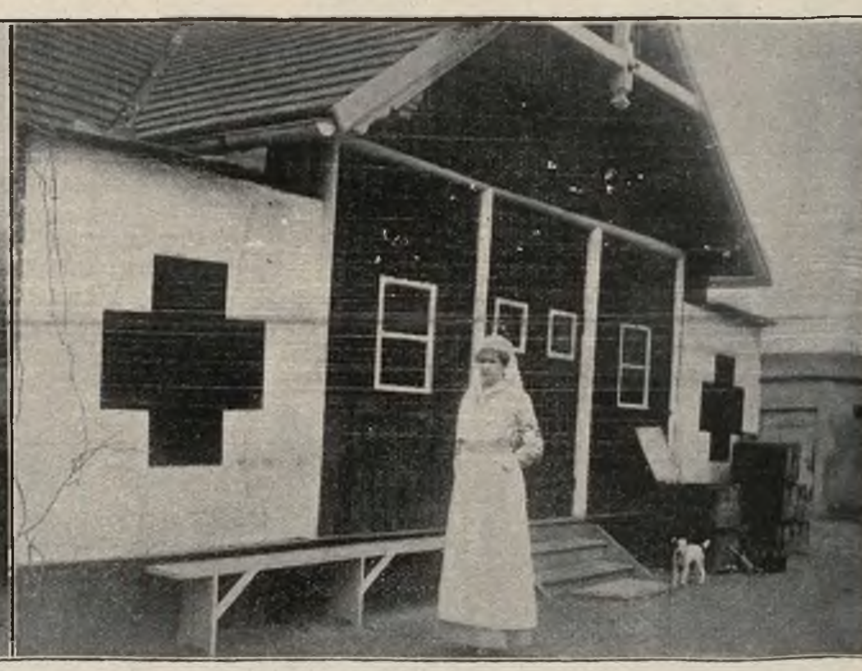
Zaznaczyć należy, że wśród rekonwalescentów znajduje się wielu Polaków, którzy nie mają słów uznania dla księżny. „Pragnęlibyśmy — pisze nam w liście komitet polskich wychodźców i żołnierzy — by naród polski wiedział o dobroczynności i szczególnych względach, jaką otacza księżna Colloredo-Mannsfeld rekonwalescentów żołnierzy-Polaków, jako też wychodźców z Galicyi".

Trzeba bowiem tu podnieść, że i dla wychodźców z Galicyi oddała księżna budynek jednopiętrowy ze światłem elektrycznem bezpłatnie do użytku, wspomagając ich przytem wydatnie opałem i różnemi naturaliami.



Rekonwalescenci w parku książęcym.

Lazaret w Dobris w Czechach:



Wejście do kuchni amerykańskiej.

Po odwrocie wroga.

Galicya powoli, ale stale uwalnia się od inwazyi nieprzyjacielskiej. Armia austro-węgierska, staczając nieprzerwanie walki, wypiera Rosyan z zajętych miejscowości, gdzie powracają natychmiast władze i obejmują urzędowanie. W ten sposób odzyskano znaczną część Galicyi, ale naturalnie zniszczoną walkami i gospodarką wojsk nieprzyjacielskich. To też czynniki krajowe wszczęły w Wiedniu starania, aby te części kraju, które ucierpiały skutkiem inwazyi wroga, i wogóle Galicyę zwolniono od rekwizycyi, a rząd przyobiecał uwzględnić to słuszne życzenie. Inaczej zresztą być nie mogło. Ze wszystkich krajów monarchii najbardziej ucierpiała Galicya, bo nawet tam, gdzie nie sięgały zagony nieprzyjacielskie, ciągłe przemarsze wojsk w pobliżu frontu bojowego wyniszczyły ludność. A cóż dopiero mówić o tych miejscowościach, gdzie wrzała walka nieraz całymi tygodniami? Całe wsie zostały zniszczone, a ludność musiała iść na tułaczkę. Co zaś nie zginęło w ogniu, to zabrał nieprzyjaciel.

W nielepszem bynajmniej położeniu niż ludność wiejska znaleźli się i mieszkańcy miast, na których Rosyanie nakładali kontrybucye i gdzie w czasie gospodarki nieprzyjacielskiej panował zwykle brak żywności i głód.

Po ustąpieniu wroga władze miejscowe z całą energią pospieszyły ludności z pomocą, która rzecz prosta w obecnych warunkach nie może być wystarczającą. Aby powetować wszystkie straty, jakie poniosła ludność Galicyi, potrzeba milionów i lat pracy. Po wojnie trzeba wszystko na nowo odbudowywać, wsie i miasta. W takim Rozwadowie na przykład pozostał tylko jeden dom i klasztor O. O. Kapucynów. Również ucierpiał Tarnobrzeg i wiele innych miast.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy skutki walk w Starym Sączu, gdzie również przez pewien czas gospodarowali Rosyanie. Jedna z fotografii naszych przedstawia szkołę męską imienia Jul. Słowackiego, pooraną gęsto szrapnelami. W górze ściany usiane drobnym makiem kul karabinowych.

Druga illustracya przedstawia rozdawnictwo podarków wigilijnych dla naszych żołnierzy. Podarków tych dostarczyli książę Braganza i książę Fran.



Co się dzieje w Przemyślu: Biuro magazynu żywnościowego. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Liechtenstein za staraniem komendanta kolejowego oddziału w Starym Sączu, porucznika Bittmana.

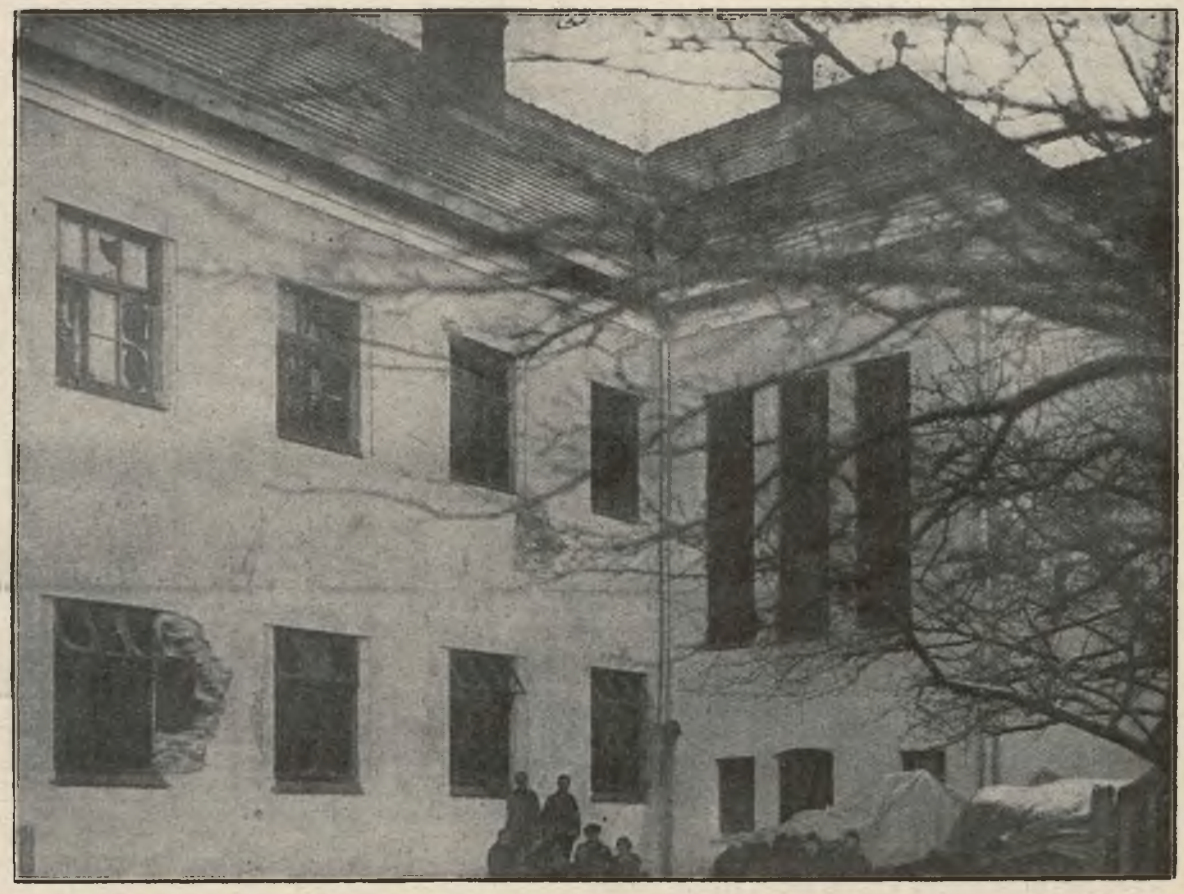
Prócz tego zamieszczamy grób esauła kozackiego D. Makarowa, syna znanego jenerała.

Makarowa zabił żołnież czy nawet porucznik au-



Lazaret w Dobris w Czechach: Główny budynek szpitalny.

stryacki śmiałym strzałem w kilkanaście dni już po zajęciu Starego Sącza przez Rosyan i zbiegł na koniu Makarowa.



Po odwrocie wroga: Budynek szkoły męskiej im. Jul. Słowackiego w Starym Sączu, uszkodzony pociskami. (Fot. P. Bayer, Stary Sącz.)

Dla rannych i chorych Polaków.

W Galicyi, w pobliżu terenu walk, leczy się tylko nieznaczna część rannych i chorych. Olbrzymia liczba ofiar obecnej wojny zapełniła szpitale we wszystkich prawie miastach monarchii, a wszędzie jest pełno Polaków. Najlepiej o tem wiedzą redakcye krakowskie, które z rozmaitych miejscowości Austro-Węgier otrzymują listy od rannych żołnierzy-Polaków z prośbą o przysyłanie czasopism. Z listów tych okazuje się, jak nasi rodacy, leczący się w szpitalach na obczyźnie, łakną polskiego słowa, które rozpędza



Po odwrocie wroga: Rozdawanie podarków wigilijnych dla żołnierzy w Starym Sączu (X) Komendant oddziału kolej. por. Bittman. (XX) feldfebel Finder, (XXX) feldfebel Piotr Bayer.



Po odwrocie wroga: Grób esauła D. Makarowa (syna znanego jenerała rosyjskiego) na cmentarzu w Starym Sączu. Obok grób huzara rosyjskiego Denisowa.

smutek i jest jedynym ich łącznikiem z krajem. — To też dostarczenie polskiej strawy duchowej dla licznej rzeszy rannych żołnierzy Polaków, rozrzuconych po całej monarchii, jest ważnym czynnikiem nie tylko humanitarnym, ale i narodowym. Trzeba przyznać, że pod tym względem społeczeństwo polskie robi, co może — aby przynieść ulgę cierpiącym braciom na obczyźnie w postaci tak upragnionego słowa polskiego. Planową i zakreśloną na szerszą skalę akcyę rozpoczęła w tym kierunku Straż Polska w Krakowie, która zajmuje się zbieraniem wśród szerszych kół książek i czasopism, które następnie rozsyła do szpitali, dla żołnierzy-Polaków i Legionistów.



Dla rannych i chorych Polaków: Ekspedycya książek i czasopism w Straży Polskiej w Krakowie, wysyłanych do szpitali dla żołnierzy-Polaków i Legionistów.

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

6

Nie zauważył nawet, że panna Zosia skończywszy „Pieśń od serca“, zaczęła jakiegoś walca.

Nie, on walca nie słyszy, ale go odczuwa, on go przenika zwolna, zwolna upajając znużone nerwy, opanowując umysł... cudnie... jak cudnie pieśń walca mknie... tak słodko, rozkosznie, weselem tchnie.

Przypomniał się Adamowi wiersz, który napisał kilka lat temu wieczorem, wsłuchując się w muzykę walca, przez sąsiadkę z drugiego piętra granego. Nie pamiętał dokładnie.

W myśli kleił pojedyncze wiersze:

...Gdy w ciszy wieczornej, samotności chwili,
przez murów ściany przemknie się ton
swawolny, lekki jak zefir skrzydlaty,
jak cichy tęskny miłości dzwon...
Zabrzmi radośnie śmiechem pustoty...
Nadziei, życia, rozkoszy tchem
I w murów ciszy skryje się znów
jak cały wietrznych amorów huf.

I znowu lekko płyną blade wspomnienia prześnionych, złotych, minionych dni...

Na lśniących skrzydłach pieśń walca mknie, lekko, powiewnie, a szczęściem tchnie...

...Para za parą suną w dal... Szumią jedwabie, atłasy...

Jak cudna płynie woń...

Woń heliotropu, zmieszana z wonią dziewczęcego ciała... to ona... ma ją w ramionach i tuli do piersi... Jej pierś biała alabastrowa wzruszeniem drży... on to czuje... jak mu dobrze...

A walc przecudny, czaruje wciąż.

Umilkła muzyka. Przebudził się Adam. W pokoju się już świeciło; nawet i tego do tej pory nie zauważył.

Prosili go na kolacyę, przedłużając jego męczarnie.

Niedługo po kolacyi wstał i pożegnał towarzystwo, wymawiając się zmęczeniem i brakiem czasu.

Wracał do swego pokoju krótszą drogą, przez ogród koło pałacu. Pałac pogrążony był we śnie, z jednego tylko okna padał snop błękitnego światła na ogród, oświetlając wązki jego pas. Okno było otwarte, nie przysłonięte. Przez prawie przeźroczystą firankę widać było górną część pokoju, jak na dłoni. Musiała to być sypialnia.

Adam nie miał wątpliwości, że za tą firanką jest ona. Może książkę czyta, może tonie w myślach, jasną główkę dłonią wsparłszy. Nie zasłaniała okna, nie spodziewając się widocznie w tej stronie ogrodu ciekawych. Zresztą okno było dość wysoko.

Stanął w cieniu, wsparłszy się o drzewo i patrzył w oświetlone okno, jak nędzarz, błagający jałmużny, jak dziecię patrzy na błękity nieba, gdy mu matka o cudnych opowie aniołach. Jak ono wyczekuje chwili, gdy mu się ukaże niebieski cherubin i wierzy w to święcie, tak on patrzył i wierzył niezachwianie, że ją tam ujrzy, jak anioła w bieli, na tem tle światła nocnej lampy.

Stał już dość długo i tracił nadzieję.

W tej chwili cień jakiś ukazał się na ścianie, rósł, potężniał, już sufitu sięgał, prawie cały sobą przysłonił. Księżniczka w oknie stanęła.

Adam mało nie krzyknął z zachwytu.

Wyglądała jak nieziemskie zjawisko. W nocnym kaftaniku, w przeróżne zdobnym koronki, z włosami rozpuszczonymi na ramiona, wyglądała prześlicznie. A bladosine światło na jej złotowłosą padając głowę, otaczało ją jakby aureolą.

Stanęła w oknie, chwilę stała nieruchoma, potem wyciągnęła przed siebie śnieżne ramiona, jakby jakiś złudny, ginący wśród drzew ogrodu sen po chwycić chciała i westchnęła głęboko.

Adamowi tłukło się w piersiach serce, jak orzeł w klatce. Całą siłą woli musiał się powstrzymać, aby nie krzyknąć z radości i nie skoczyć ku oknu. Coby się stało?!

Możeby się zgniewała i odeszła. Za nic! Lepiej tak patrzyć na nią zdaleka, a długo, patrzyć jak w święty obrazek.

Wychyliła się z okna, raz, drugi, jakby chciała zobaczyć, czy nikogo pod jej oknem niema i zniknęła. Za kilka chwil przygasła lampa, blado tylko oświetlając pokój.

Adam stał jeszcze długo, wpatrzony w jej okno, a gdy już tracił resztę nadziei powtórnego jej zobaczenia, skierował kroki do swego mieszkania.

Nagle, gdy już mijał pałac, przyszła mu do głowy myśl.

Gdybyż jej rzucić przez okno kilka róż... Gdy wstanie, mnie tu już nie będzie... sprawi to jej przyjemność.

Poszedł do kwiatowego ogródka, zerwał kilka białych, pachnących róż i wrócił pod jej okno. W tej chwili porwała go chęć zobaczenia jej jeszcze raz, chęć niczem niepowstrzymana, wycałowania oczyma jej ócz, ust... wypieszczenia jej cudnych włosów.

Z niebywałą zręcznością wsparł się nogą na pniu rosnącego obok drzewa, ręką chwycił się okna i w pewnej chwili zawisnął w powietrzu. Ogromnym wysiłkiem złapał się gzymsu okiennego drugą ręką i był w oknie, w zębach trzymając te kilka róż. Poranił sobie ręce i twarz kolcami łodyg, ale nie dbał o to. Wspiął się na rękach i usiadł na oknie. Wpatrzył się w pokój...

Spała, dziewczęcą główką tonąc w koronkach. Bieluchna ręka zwisała z łóżka, druga ginęła pod atłasową, błękitnego koloru kołdrą...

Oddychała równo, w coraz głębszy popadając sen. Na ustach jej uśmiech się rozgościł i trwał.

Adam był wzruszony tym widokiem; wydawał mu się snem.

Spij... spij... aniele mój... niech ci się szczęście śni... szepnął.

Poobrywał łodygi róż z kolców i rzucił zręcznie na łóżko. Upadły jej na poduszkę, dookoła śpiącej układając się głowy.

Bądźcie wy posłami mymi... świadkami smutnych, a rozkosznych chwil... Snij... śnij... aniele...

. . . .

Wczesnym rankiem ten sam wolant, który Adama przywiózł, uwoził go ze Zbylitowa.

Urywek z pamiętnika.

CZĘŚC II.

30 sierpnia.

Jestem z powrotem w Krakowie. Wynająłem sobie miły pokoik, okno wychodzi na ogrody. Czuję się naogół dobrze, chociaż od pewnego czasu miewam chwile dziwnego osłabienia. Przytem kaszlę coraz częściej i to mnie niepokoi. Może to przejdzie. Niby mi tutaj dobrze, w tym starym Krakowie, a jednak czegoś mi brak — odczuwam straszną pustkę. Smutno mi.

Swoją drogą nic dziwnego — ze znajomych prawie nikogo jeszcze nie widziałem, nudzi mi się, więc zrzędzę. Dziś popołudniu wybrałem się do Rzepiec i przekonałem się, że tak czytelnia, chór, jak i sklepik funkcyonują znakomicie. Chłopi witali mię serdecznie. mocno ściskając mi dłoń. Cieszyli się, że już wróciłem i prosili o pomoc w załatwieniu ostatnich czynności około urządzenia składnicy towarowej. Chętnie się zgodziłem, choć nie wiem czemu, ale mam przekonanie, że już niedługo mego pobytu w Krakowie.

Może wyjadę gdzie za Kraków na jaką posadę.

31 sierpnia.

Dostałem kartkę od Zygmusia — podpisała się na niej Lili. Są w Kołobrzegu. Dziwna rzecz, że po otrzymaniu tej kartki uczułem tęsknotę za morzem Północnem. Rzecz inna, że nad morzem dotąd nie byłem, a warto byłoby zobaczyć.

Jestem jakiś podniecony, nie mogę usiedzieć dziesięciu minut na jednem miejscu. Wbrew zasadom moim, dziś całe pół dnia nic nie robiłem, błąkając się po mieście. Deszcz pada, dziwnie przygnębiająco na mnie działając.

Poszedłem do kawiarni.

Przerzucając dzienniki znalazłem korespondencyę z Kołobrzegu. Ciepło i słońce świeci, jakby nie na północy!

Zaczyna mię to, nie wiem dlaczego, cieszyć.

Autor korespondencyi wyrzuca zarządowi Kołobrzegu hakatyzm — nawołuje do bojkotu.

Godzę się z nim najzupełniej, jestem gotów mu z całych sił pomagać zawsze, ale nie dzisiaj.

Dlaczego?

Nie wiem, ale ja muszę widzieć ten Kołobrzeg.

Wyszedłem z kawiarni i wracam do domu. Po drodze spotykam kilka dorożek, jadących z walizami na dworzec. Coś mi w duszy zadrgało. Jakiś głos mi szepnął: jedź!

Tak! jadę, jutro rano wyjeżdżam do Kołobrzegu.

Kołobrzeg, środa.

Doprawdy nikt nie powinien wiedzieć, że tu jestem. To śmieszne, co mi myśl szepce... że... ja jestem naprawdę w Lili zakochany. Ale, jeśli mię tu zobaczą, tak z pewnością pomyślą. Trzeba się ukrywać. Prawda, że miałem chwile słabości do niej, ale żeby się kochać... mówiłem jej to wprawdzie, ale to wszystko nerwy...

Te nerwy...

Przecież i ona mi to samo mówiła, a teraz z pewnością sama się śmieje z tych sentymentalnych wynurzeń. Piszę te słowa, ale bez przekonania — co więcej, ta myśl sprawia mi przykrość.

Taka już ludzka słaba, egoistyczna natura.

Samemu można zapomnieć, nawet śmiać się z minionych chwil, ale przyjemnie jest być pewnym, że „ona“ tych chwil nie zapomniała. Miło jest być kochanym i wiedzieć o tem, a udawać, że się tego nie zauważa i nie dba o to.

Znalazłem maleńki pokoik przy uliczce o dziwnie brzmiącej nazwie Hucke. Nie wiem, kto to mógł być. Okno wychodzi wprost na morze i to mi sprawia ogromną przyjemność. Mogę, nie wychodząc z domu, patrzeć na to morze, kłębiące się i wyjące potwornymi głosami, to znowu lekko, poważnie szumiące. Mogę skakać wzrokiem po pieniących się, ogromnych bałwanach, lub ślizgać się po gładkiej, jak jedna bez końca tafla lodu, powierzchni wody.

Mam zamiar kryć się niby przed ludźmi, a coś pcha mię między nich.

Idę dziś na koncert.

Środa.

Dziś rankiem, wabiony śliczną pogodą i cichym szmerem granatowego morza, lekko promieniami słońca złoconego, wyszedłem na przechadzkę. Morze z mego okna śliczne, u brzegu wydało się czarującem. Lekki wietrzyk igrał łagodnie z szklistą morza powłoką, to tu, to tam, maleńkie powodując fale i lekki szmer.

Ten szmer cichutki, jakby miłośnie szepczący, kołysał mię, myśli moje unosząc w dal... dal...

Niebo czystym błękitem zasłane, ku widnokręgowi ciemniało, z powierzchnią się zlewając morza. W nieuchwytnej dali jakiś biały punkcik zamajaczył, jak motyl. Jął się z chwili na chwilę powiększać i wnet łódź białym się zarysowała żaglem. Za nią druga i trzecia, jak rój białego ptactwa. A melancholijny wietrzyk maleńkie fale pędził w dal... jedne za drugą. jedne za drugą.

Szedłem skalistym brzegiem, z kamienia na kamień przeskakując, a fale lekko brzeg muskały i, cofając się, zostawiały miliony maleńkich muszelek

Rozbawiony, droczyłem się z falami, goniąc je, gdy się cofały, a uciekając, gdy szybko ku brzegom sunęły. Tak, wolno posuwając się, zaszedłem do jednego z uroczych zakątków zdala od Kołobrzegu. Naturalny park dochodził tu do samego morza i kończył się skalistym, stromym brzegiem. Na jednym z większym głazów usiadłszy, bawiłem się widokiem igrających maleńkich rybek.

Słońce świeciło całą potęgą swego blasku.

U brzegu, między kamieniami na dnie, widać było najmniejszą trawkę. Maleńkie stworzonka igrały całemi chmarami, zwracając się to tu, to tam, jakby jakie pułki wykonujące pewne ruchy na daną w pewnej chwili komendę. Chwilami ginęły gdzieś między głazami i zielenią traw przybrzeżnych, aby za chwilę w jeszcze większej pokazać się masie.

Wszystko wokół kipiało od życia i radości.

Lekki do tej pory wietrzyk jął się wzmagać, marszcząc szklistą morza powłokę. W pewnej chwili zerwał się gwałtownie i jął burzyć harmonię ciszy swem ponurem, świszczącem wyciem i gwałtowniejszym szumem rozkołysanych fal.

W tej chwili dał się słyszeć lekki okrzyk na pół śmiejący, na pół rozpaczliwy, a w tejże chwili do nóg moich upadł panamski kapelusz kobiecy. Chwyciłem staczający się do wody kapelusz i zaraz ruszyłem na poszukiwanie właścicielki.

Nie wiem czemu, ale me serce dziwnie przyspieszyło tętno. Uczułem na całem ciele przejmujące mię zimno, twarz mi gorzała. Myśl, jak błyskawica, przemknęła mi przez mózg.

To ona! Liluchna... ona... ona...

Lili! Liluś!... szeptałem pieszczotliwie, drapiąc się na wysoki brzeg. W chwilę potem spostrzegłem ją. Tak, to ona była. Zdało mi się w pierwszej chwili, że mi serce pierś rozsadzi, że zacznę płakać ze wzruszenia i radości. Och, gdybym mógł i śmiał, skoczyłbym był do niej w tej chwili i chwycił w pół, porwał w ramiona, jak dziecię drogie, kochane... uciekłbym z mym skarbem gdzieś w ciszę... w dal. Uciekłbym tam, gdzieby nie doszło życia echo, gdzie słychać by było tylko serc naszych przyspieszone bicie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowy pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich.

Rosyanie nie mają szczęścia w Prusach Wschodnich. Zaraz na początku wojny wtargnęli do tej prowincyi z wielkim impetem, lecz w końcu sierpnia ponieśli pamiętną klęskę pod Szczytnem. Niemcy zabrali wtedy do niewoli 90.000 Rosyan i zdobyli niezmierną ilość dział, karabinów i amunicyi. Niedobitki armii rosyjskiej schroniły się wtedy na linię twierdz nad Narwią, a Niemcy po rozbiciu armii jen. Rennenkampfa około jezior mazurskich, zajęli Grajewo, Szczucin i Suwałki.

Pomimo tak wielkiej klęski Rosyanie szybko zreorganizowali swe pobite armie i wzmocnili je nowymi posiłkami, tak że w końcu października rozpoczęli ofenzywę, a w połowie listopada mieli już ponownie w swem posiadaniu cały nadgraniczny pas Prus Wschodnich. Wojska niemieckie zajęły obronne pozycye wzdłuż płaszczyzny jezior Mazurskich i ograniczyły się do defenzywy.

Ten stan trwał do dnia 18 lutego, w którym rozpoczęła się ofenzywa niemiecka, zakończona jeszcze dotkliwą klęską armii rosyjskiej, która została zupełnie rozbitą i osaczoną. Niemcy podczas bitwy, jak i w czasie pościgu za uciekającą w popłochu armią rosyjską, wzięli ogółem do niewoli siedmiu jenerałów i przeszło 100.000 żołnierzy oraz zabrali przeszło 150 armat.

Zwycięstwo to jest niewątpliwie wynikiem planu strategicznego, świetnie obmyślanego przez jenerała Hindenburga i przeprowadzonego z całą dokładnością.

Ugrupowanie wojsk niemieckich w okolicy Gąbina dokonało się w tajemnicy przed nieprzyjacielem pod osłoną dywizyi kawaleryi. Następnie posłano silne oddziały w kierunku do Pilkał i Łazdemów, aby nieprzyjaciela, który w tej okolicy się znajdował, zaatakować i odciąć mu połączenia ze Stołupianami i Kownem. Podczas tych operacyi przyszło do walki z 56 dywizyą rosyjską, którą zupełnie rozbito. Wzięto szturmem Spuły i Hakiszki, poczem dokonano okrążenia nieprzyjaciela mimo bardzo wielkich śniegów.

Rezultatem tego zwycięstwa jest zupełne oczyszczenie Prus Wschodnich z nieprzyjaciela i przerzucenie pola walki na terytoryum gubernii Suwalskiej. Wojska niemieckie zajęły znowu Suwałki i Augustów i znów zbliżyły się do twierdzy Osowca.



Łódź w czasie wojny: Zwłoki konia, zabitego granatem na Bałutach w ulicy Mickiewicza.



Dla swoich. Grupa uczestników uroczystości otwarcia szpitala dla rannych Legionistów polskich, urządzonego w Piszczanach na Węgrzech staraniem i kosztem p. Heleny Dambskiej. W pośrodku p. Helena Dambska i jej córka

Dla swoich.

Tocząca się obecnie wojna daje bardzo wiele sposobności do okazania współczucia dla tych, którzy poszli za głosem serca i pospieszyli na pole walki, by zmierzyć się z odwiecznym wrogiem narodu.

Współczucie to nie objawia się jednak tylko w czczych słowach, ale w szlachetnych czynach. Kogo nie stać na wybitniejszą pomoc materyalną, ten bodaj moralnie popiera usiłowania zamożniejszych jednostek, spiesząc chętnie z bezinteresowną pomocą dla rannych i cierpiących.

Z różnych stron dochodzą nas wiadomości o lecznicach i szpitalach, urządzonych dla ofiar wojny przez różne wielkodusznе osobistości. Ostatnio nadesłano nam z Piszczan na Węgrzech fotografię, przedstawiającą grupę uczestników otwarcia lecznicy dla polskich Legionistów, urządzonej w tamtejszym zakładzie kąpielowym za staraniem i kosztem p. Heleny Dambskiej, która wraz z córką cały swój wolny czas poświęca pielęgnowaniu nieszczęśliwych rodaków.

Szpital ten, urządzony na razie na trzydzieści łóżek, z czasem rozszerzony ma być na pięćdziesiąt, a wyposażony jest, dzięki szlachetnej ofiarodawczyni, we wszystko, co tylko wskazanem jest dla podobnego zakładu. W pierwszym rzędzie leczą się tutaj Legioniści, którzy nabawili się w życiu obozowem reumatyzmu i podobnych cierpień, na które tak znakomicie działają piszczańskie kąpiele, pozatem znajdują tu także opiekę ranni i rekonwalescenci. Dyrekcya zakładu kąpielowego przyłożyła także rękę do szlachetnego dzieła i ofiarowała zupełnie bezinteresownie kąpiele wszelkiego rodzaju dla chorych.

Oby szlachetny czyn zacnej Polki stanowił dla wielu przykład do naśladownictwa!

Z Zakopanego.

Zakopane, gdzie zgromadziła się obecnie znaczniejsza liczba inteligencyi i zamożniejszych uchodźców, wre obecnie życiem umysłowem i towarzyskiem, którego centrem jest jak zawsze zakład dra Chramca. Tam odbywają się odczyty i przedstawienia, a po Bożem Narodzeniu urządzono staraniem p. Michalewskiej przedstawienie „Jasełek“ Rydla, odegranych przy współudziale dzieci inteligencyi polskiej, zamieszkałej w zakładzie dra Chramca. Częścią muzyczną kierował Adam Rapacki, wnuk znakomitego artysty z Warszawy, Wincentego Rapackiego.



Z Zakopanego: Przedstawienie „Jasełek“ Rydla w zakładzie dra Chramca. (Fot. W. Brittig).

Kronika tygodniowa.

Od samego poniedziałku wiedzie mi się, jak to powiadają pod psem. Ja się temu nie dziwię, w nocy bowiem przyśniła mi się moja ś. p. teściowa, a to, jak wiem już z doświadczenia, nigdy nic dobrego nie wróży.

Zły, przez pomyłkę lewą nogę wystawiłem najpierw z pod kołdry, a jest to także *malum omen* i zacząłem się pospiesznie ubierać, zobaczywszy, że na zegarku skazówka dochodzi do dziewiątej. W pośpiechu zamieniałem części garderoby, co skomplikowało jeszcze bardziej sytuacyę i dolało oliwy do ognia. Wściekałem się, niczem sam Belzebub, tak że zwróciła na to nawet uwagę moja lepsza połowa.

— A cóż ty dzisiaj tłuczesz się od samego rana, jak jaki Marek po piekle? — pytała.

— Może mi nie wolno? — odparłem — Czy nie jestem panem domu i nie wolno mi robić na swych własnych śmieciach, co mi się podoba?

— Ale my chcemy spać!

— Spać?... O dziewiątej?

— Czyś zwaryował? Popatrz lepiej na zegarek, a przekonasz się, że dopiero siódma! Pewnie wczoraj zaprószyłeś sobie znowu łepetę i spać nie możesz!

— Owszem! Ile razy wypiję więcej, spię, jak zabity.. To jest, ja nigdy miarki nie przebieram!,.. Ale już prawie dziewiąta, a ja muszę iść do redakcyi.

To rzekłszy, wziąłem zegarek do ręki i przekonałem się, nie wiem, który już raz w mem życiu, że zawsze żona, a nie ja mam racyę. Stał sobie najspokojniej, gdyż zapomniałem go nakręcić i pokazywał trzy na dziewiątą, ale nie dziś, lecz wczoraj wieczór, w niedzielę...

Nie odezwałem się więc ani słowa, ponieważ zaś byłem już zupełnie gotowy, zabrałem się do wyjścia, by po drodze wstąpić do cukierni i przeczytać poranne dzienniki.

Zanim jednak zamiar uskuteczniłem, zapukał ktoś dyskretnie do drzwi.

— Kto tam? — wołam w jakiemś złem przeczuciu, ciągle bowiem jeszcze ś. p. teściowa chodziła mi po głowie.

— Ja, proszę pana! — odezwał się znajomy alt, szczególniej, jakby powiedział krytyk artystyczny, w dolnych tonach niezbyt melodyjny. — Stróżka!

— Czegoż wam się znowu zachciewa? — spytałem, otwierając drzwi, przez które z trudem wcisnęła się jej korpulentna postać.

— Pan gospodarz kazał się kłaniać i przypomnieć, że dziś już pierwszego marca, a czynsz za luty jeszcze nie zapłacony!

— Wiem o tem bardzo dobrze! Na to mam kalendarz, pan gospodarz nie potrzebuje mi o tem przypominać. Proszę powiedzieć, że ja tam już przyjdę...

— A kiedy?

— Nie jestem prorokiem! Jak będę miał pieniądze... To jest, chciałem powiedzieć, gdy zmienię, bo mam tylko same tysiąckoronówki.

— Ja mogłabym skoczyć!

— Dziękuję wam, lepiej nie skaczcie! W tym wieku jest to i niezdrowo i nawet nie wypada. Bądźcie zdrowi! Kłaniajcie się pięknie panu gospodarzowi i powiedzcie, że ja tam przyjdę...

— Ale z pewnością, proszę pana! Bo pan gospodarz mówił, że czekał przez cały miesiąc, a pan, choć obiecywał, nie przyszedł...

— Bo nie miałem czasu!... — zakończyłem i ze względów, nie tyle grzeczności, płci nadobnej się należącej, ile raczej z obawy, by dłużej nie gadała, podprowadziłem panią cerberową do drzwi i pomogłem jej przez nie się przecisnąć.

O śniadaniu i mowy nie było, cały fraucymer przeciągał się jeszcze w swych łóżkach, wziąłem więc laskę w garść a nogi za pas i podążyłem do cukierni, by tutaj dowiedzieć się, co słychać w polityce.

Zgłębiałem gazetę po gazecie, nie darowałem nawet „poniedziałkowej", a przekonawszy się, że zbliża się już dziewiąta, a ja punktualność bardzo cenię, zatrąbiłem do odwrotu.

Lecz znowu niepowodzenie... Ciągnę z kieszeni pugilares i, ku memu ogromnemu zdziwieniu, przekonuję się, że taka w nim próżnia, o jakiej nie miał pojęcia ani Torricelli... Domyśliłem się jednak, co to znaczy. Wieczorem moja poczciwa żoneczka urządziła niespodziewaną rewizyę w mej sakiewce i skonfiskowała cały zapas gotówki (choć nie było jej wiele!...), wychodząc z tego, słusznego zresztą zapatrywania, że właśnie pieniądze są powodem i przyczyną wszego złego na świecie.

Kto ich nie ma, ten nie jest narażonym na żadne pokusy...

Głupio mi się zrobiło koło serca, zapisałem to przecież na konto snu dzisiejszego i będącego koniecznem jego następstwem pecha, wytłumaczyłem, że ureguluję rachunek w południe i udałem się teraz już prosto w stronę redakcyi. Szedłem zaś piechotą, gdyż mi się wyjątkowo spieszyło. Jeśli mam więcej czasu, posługuję się tramwajem, prowadząc bardzo zajmujące rozmowy z paniami konduktorkami, które są na to, jak na lato...

Dyrekcya tramwaju miejskiego, uznając słuszność życzeń naszych połowic, wybrała konduktorki przeważnie mniej urodziwe, mogę się więc do tego przyznać otwarcie bez obawy narażenia się na pociągnięcie do odpowiedzialności przed trybunałem domowym, który, w danym wypadku, feruje nawet wyroki doraźne!

Zaledwie usiadłem przy biurku i zabrałem się do pierwszej, a najważniejszej czynności urzędowej, to jest zrobienia porządku z organem powonienia, widzę znowu, że nie wziąłem ze sobą chusteczki...

Ale, jeśli kogo prześladuje pech, to prześladuje go bez końca!

Rozmyślam nad tem, jakby brak ten zastąpić, przedemną tymczasem staje chłopiec z drukarni, na imię mu Antoś, czy Tadzio, tego nie wiem... może nawet i Jaś, i powiada z powagą:

— Proszę o skrypt!

— Jaki? — pytam mocno zdziwiony.

— Do kroniki!

— Do kroniki?... Bracie kochany, ja dopiero siadłem przy biurku, jeszcze nie miałem czasu wysiąkać nosa, a tobie już się kroniki zachciewa?

— Pan dyrektor mnie posłał!

— Aha!... Pewnie także lewą nogą wstał z łóżka, albo może i jemu przyśniła się teściowa i chce się mścić na ludziach. Powiedz, że kronika będzie, ale później! Najpierw muszę się rozmachać!

— W każdym razie przed dwunastą, bo nie mamy co składać!

— To bardzo źle! Wszak już Pismo św. mówi wyraźnie: „Co masz zrobić dzisiaj, zrób jutro!" Trzeba się było w sobotę tak nie spieszyć i zostawić sobie trochę na poniedziałek! Nie byłoby wam się przykrzyło!

Popatrzył na mnie dość melancholijnie i poszedł, a ja z wściekłością porwałem za pióro. Wszystkiemu winna ta moja teściowa!... Także nie ma babsko nic lepszego do roboty, tylko śnić się w nocy człowiekowi! Dość sadła zalała mi za życia za skórę, jeszcze po śmierci nie daje spokoju. Ale, sądzę, kiedyś będzie mi to policzone i zapisane w niebieskich księgach hipotecznych na karcie odcierpianej już pokuty. Jeśliby tak być miało, to powinienbym tam mieć już pewne *plus*, wobec czego możnaby grzeszyć bez obawy narażenia się w życiu przyszłem na smażenie się w ogniu piekielnym, który podobno już tak nie praży ze względu, iż opał ogromnie podrożał z powodu utrudnionej komunikacyi.

Tak rozmyślałem, gdy wręczono mi list.

Treść jego była następująca:

„Wielmożny Panie Kronikarzu!

Jeśli Panu wiadomo, to § 343. austr. kodeksu karnego powiada wyraźnie: „Kto, nieodbywszy nauk lekarskich i nie będąc według ustaw upoważnionym do leczenia chorych, jako lekarz i chirurg leczenie w sposób zarobkowy wykonywa.. ten popełnia przekroczenie i ukarany będzie aresztem, a w miarę długości czasu, przez jaki się zajmował tem nieprawnem zatrudnieniem, tudzież w miarę zrządzonej przez to szkody, ścisłym aresztem od jednego do sześciu miesięcy; w razie wynikłej z jego zawinienia śmierci człowieka, ulegnie karze występku podług § 335."

Powyższy paragraf przytaczam dosłownie, aby Cię, póki czas naprowadzić na drogę cnoty i uchronić przed hańbą i karą! Wiesz Pan już zapewne, o co mi się rozchodzi?... Jeśli nie, to Ci powiem! O ostatnią kronikę, w której bawisz się w kurfuszera i podajesz Czytelnikom środek na kaszel. Ja gorzkiej wody wprawdzie w tym celu nigdy w mej praktyce lekarskiej nie stosowałem, widzę jednak, że musi to być środek bardzo dzielny, od czasów bowiem, gdy pojawił się inkryminowany artykuł w „Nowościach", liczba mych kaszlących, a płacących pacyentów stopniała przeszło o połowę! Zajmujesz się zaś dawaniem rad zawodowo i ciągniesz z tego korzyści, za pisanie bowiem kronik Ci płacą, a kto wie, czy od sprzedawców gorzkiej wody nie otrzymałeś także jakiej gratyfikacyi!

A kto na tem cierpi, jeśli niepowołany kronikarz wtyka nos tam, gdzie nie powinien? Nikt inny, tylko my, lekarze!

Stając więc w obronie naszego zawodu, zaklinamy Cię, Wielmożny Panie Kronikarzu, byś pisał, o czem chcesz, ale medycynie daj spokój. Na tem sam wyjdziesz najlepiej i w ostatniej chwili, gdy... będziesz się miał pożegnać z tym światem, żaden z nas nie odmówi Ci swej światłej pomocy. Jeśli zaś nie, w takim razie giń naturalną śmiercią!

Zważ także i drugą okoliczność, jeśli tamta Twego twardego serca nie skruszyła!

Jestem Waszym prenumeratorem i abonuję *Nowości*, bo mi się podobają. A skąd biorę na to pieniądze?... Przynoszą mi pacyenci lub wdzięczni spadkobiercy. Ci ostatni jednak mniej!

Otóż, jeśli pieniędzy od tych pierwszych nie otrzymam, prenumeraty nie zapłacę i Wy sami poniesiecie szkodę!

Zastanów się więc nad tem, co robisz i na przyszłość daj sobie spokój.

Szczerze życzliwy

Dr. X. Y. Z."

Z kodeksem karnym nie lubię i od najmłodszych lat nie lubiłem nigdy wchodzić w jakowąś styczność, przyznam się jednak, że w postępowaniu swem nie widzę dotąd nic karygodnego.

Jeśli rad udzielam, to tylko z dobrego serca, nie ciągnąc zaś żadnych z tego korzyści. Za kronikę mi płacą, to prawda, specyalnego przecież wynagrodzenia za reklamowanie gorzkiej wody od nikogo nie otrzymałem i nie otrzymam, co najwyżej, ten lub ów handlarz win mineralnych gotów mi ofiarować flaszkę Hunyadego. A ja, przyznam się szczerze, obchodzę się najzupełniej bez tego.

Że jednak środek ten jest skuteczny, przekonałem się na swej ś. p. teściowej, która stale używała wody gorzkiej (codziennie rano naczczo szklaneczka wystarczy), ale też nie kaszlała wcale, choć poeta mógłby był, gdyby ją był znał, powiedzieć o niej, że jest: „kasząca, słaba".

Aby jednak nie stracić prenumeratora, gotów jestem raz na zawsze zerwać z dawaniem komuś rad. Niechaj więc nie gniewa się przypadkiem ktoś na mnie i nie pomawia mnie o nieuczynność, jeżeli na interpelacyę listowną, nie odezwę się ni słowem.

Wszak, jak miecz Damoklesa, wisi nad mym karkiem § 343, a może nawet i § 335, daleko odeń groźniejszy!

Powie kto może: „Tego ostatniego się nie bój! Od gorzkiej wody nikt dotąd nie umarł!..." Ja się jednak boję, bo mam pecha, zwłaszcza, jeśli mi się w nocy śni teściowa!

Znam jednego jegomościa, który zjadł na obiad kawałek smażonego karpia, a potem wypadł z okna trzeciego piętra na chodnik i zabił się na miejscu, ciekawy jestem, dlaczego podobny los nie miałby się stać udziałem używającego na gorzkiej wodzie! Gdyby zaś, stało się to po mej ordynacyi, byłbym zgubiony!

Wobec tylu niepowodzeń, jakie spotkały mnie jednego dnia i to przed południem, miałem zamiar złamać pióro kronikarskie i powiesić się z rozpaczy, przedtem jednak postanowiłem podać me zmartwienie do publicznej wiadomości, jako ostrzeżenie dla wszystkich, by im teściowe, nawet we śnie, nie chodziły po głowie.

Żona moja, gdym jej sen opowiedział, radziła, bym postawił na loteryę, niestety, ile senników egipskich wziąłem do ręki, w każdym teściowa oznaczona była innym numerem, trudno więc było cośkolwiek z tego wykombinować. Skończyło się więc na niczem, co jednak gorsze, kończy się i trzecia wielkopostna kronika, a ja jeszcze nie miałem sposobności do omówienia obecnej polityki światowej.

Lecz nie moja w tem wina, ale okoliczności, które tak paskudnie się złożyły, głównie zaś teściowej nieboszczki, świeć Panie nad jej duszą kolorowemi latarniami i daj jej wieczny spoczynek, którego ona za życia nikomu go nie dała!

Zagadki do nagrody.

Depesza.

Ułożył Brat uciekiniera z Krakowa w Nowym Jiczynie.

Z liter depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

Adamie W.!
Są T Rączka i Br. G. Ridel.
Ząt.

Przekładanka.

Ułożył Focking z Dębnik.

Litery uporządkować w ten sposób, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda bardzo dziś popularne nazwisko.

d e h l o r
d g i n o y
a e n n s t
a d e i l n
c e h n u u
a e n r s s
a b c i n o
c e i j ś u
a m n o r s
a b e g i r

Przysłowiówka.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa

Z każdego przysłowia, idąc cztery razy z góry na dół, wyjąć po jednej głosce i utworzyć z nich nowe przysłowie:

1) I mądry głupi, gdy go nędza złupi.
2) On się boi, a złe broi.
3) Nie chciała baba talara, łap złoty.
4) Boi się, jak wściekły pies wody.
5) Na złodzieju czapka gore.

Logogryf.

Ułożył W. M.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy i ostatni rząd utworzą pseudonim znanego polskiego powieściopisarza oraz tytuł jego dzieła.

□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej wstyd. 2. Rzeka lub wyspa. 3. Gra w karty. 4 Imię męskie. 5. Kwiat.

Logogryf.

Ułożył X. Y., Oświęcim.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, by powstały wyrazy o podanem znaczeniu Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nam pierwszą literę imienia i nazwisko polskiej poetki.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Rosyi 3. Pożyteczna roślina. 4. Stacya kolei warszawsko-wiedeńskiej. 5. Poeta polski złotego wieku. 6 Szukany wyraz. 7. Jedna ze stolic europejskich 8. Polski przyrodnik. 9. Imię męskie. 10. Narząd wzroku 11 Samogłoska

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. M.

Podane litery uporządkować w ten sposób, by powstały wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a d d
e e j j k
k l n n n
o o r s z

Znaczenie wyrazów: 1. Pseudonim powieściopisarza. 2. Mieszkanie ludzkie. 3. Imię męskie zdrobniałe. 4. Imię żeńskie 5. Rozkaz.

Szarada.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Drugie-trzecie są to miasta,
Które mają świetną sławę,
Drugie-pierwsze, gdy słodkawe,
Jecie chętnie, tak, jak ciasta.
Całość, cenną, weźmiesz snadnie,
Gdy na ciebie los wypadnie

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

C. T. nosiła ci sępa ławą.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oj! Czarty! Koc, obaj.

Bilety wizytowe.

Ułożył Jot-Es, Jarosław

Z liter na biletach utworzyć zawód poszczególnych osób

I. L. TRATOGRINO.
O. ŻMINĘSKI.
Z. GARĘSKI.
U. PECKI.
P. TAKAREZ

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Edwarda Słońskiego:* **W więzieniu.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Równanie: Rogia + **mucha** + M **nia** = Rumunia
Burza + **kawa** + **areszt** = Bukareszt

Logogryf:

M
O d a
P l u s z
P r o b l e m
M D u b i e c k i
W a l e r y a
W i c e k
O k o
i

Przekładanka geograficzna:

P i r e n e j e
E d y n b u r g
T a r n o p o l
R o z w a d ó w
O ś w i ę c i m
G l i n i a n y
R a c i b o r z
A b i s y n i a
D a l m a c y a

Logogryf geograficzny:

A
U f a
B e l g r a d
P r a g a
K o n i a
C h i w a
J a s s y
S k u t a r i
B a r
u

Kwadrat magiczny:

L i n a
I w a n
N a w a
A n a m

Zadanie do przestawienia: Z jakim się wdajesz, takim się stajesz.

Łamigłówka:

Jan
rak
sok
wir
pot
Bar
Men
kto
aza
oko
orl
ski
rów
sad
tum

Bilety wizytowe: Handlarka win. Artystka malarka. Filozofka Pisarka. Lekarz zakładowy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Gaiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, L. Orelski Wadowice, S. Karczmarski Poddębie, H. Wincencik Kraków, A Dużak Kraków. J. Antosz Tarnów, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, S. Mroz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Artosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Tarnów, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Langer, Berno.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w Cieszynie donosi, że z powodu nieprzyjmowania listów przez pocztę rosyjską, lecz tylko kart korespondencyjnych i to z państw neutralnych, nie powinno się nadal przesyłać do Galicyi wschodniej, ewentualnie do innych krajów i państw listów. Aby jednak utrzymać możność porozumiewania się naszych rodaków-uchodźców i nadal z ich rodzinami we wschodniej Galicyi, ewentualnie i innych krajach i państwach, Zarząd Główny Macierzy Szkolnej zamówił karty korespondencyjne poczty rumuńskiej, po które, chcący je nabyć, zechcą się zwrócić za kilka dni pod podanym wyżej adresem, dołączając znaczek pocztowy za 20 halerzy. Zatrzymane z powyższego powodu do przesyłki do Galicyi wschodniej względnie innych krajów i państw, listy po otrzymaniu z Rumunii pocztowych kart korespondencyjnych zwróci się nadawcom celem przepisania ich.

Wystawa obrazów malarzy polskich. P. T malarzy polskich, pragnących wziąć udział w wystawie obrazów, urządzonej w Pradze w połowie marca b. r., staraniem sekcyi oświatowej Komitetu Wychodźców galicyjskich, upraszam, by zechcieli łaskawie podać adresy swoje, oraz ilość i rozmiary obrazów, które wystawić zamierzają, najdalej do końca b m t. j. do 28 lutego, pod moim adresem. Osobne zaproszenia nie będą wysyłane Dr. inż. Władysław Floryański, Praha, Smichov, ul. Tichá č. 5.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego